

Arkadiusz Chrudzinski

Świat według Quine'a

Filozofia Quine'a jest obecnie najbardziej chyba wpływową doktryną. Korzystają z niej zarówno ci, którzy z entuzjazmem przyjmują jej semantyczny behawioryzm, jak i ci, którzy w krytyce pojęcia analityczności słyszą trąby obwieszczające schyłek analizy w filozofii.¹ Quine'owski holizm w teorii wiedzy jest istotnie zbieżny z postpopperowskimi tendencjami w filozofii nauki. Są nawet tacy, którzy z aprobatą mówią o Quine'owskiej *dekonstrukcji* pojęcia znaczenia i przez tę drobną konwencję terminologiczną adaptują jego tezę do roli, której sam autor na pewno nie powitałby z uznaniem. Filozofom nieczułym na Quine'owskie sugestie wypada dzisiaj *explicite* się do nich ustosunkować. Wypada im to zrobić, nawet gdyby uważali jego teorię za jawnie absurdalną.² Jednym słowem, zarysowany przez Quine'a obraz stał się dzisiaj wyraźnym i łatwo identyfikowalnym filozoficznym punktem odniesienia, który ze względu na swe wpływy zasługuje na nazwę klasycznego.

W artykule niniejszym chcemy dać jedynie ogólny zarys najwyraźniejszych jego punktów oraz postawić kilka pytań. Ani przedstawienie doktryny, ani lista problemów nie rości sobie pretensji do kompletności. Roszczenia takie, w przypadku filozofa, któremu poświęcono grube tomy, brzmieć mogłyby jedynie śmiesznie. To, co chcemy zrobić, to ogólnie przedstawić swoisty sposób patrzenia na filozoficzną problematykę, który proponuje Quine.³

¹ Niesłusznie jednak, gdyż zarówno Quine, jak i Carnap ujmują kwestię analizy całkiem niezależnie od zagadnienia analityczności czy synonimiczności. Analiza filozoficzna (czy logiczna) nie polega na podaniu sformułowania synonimicznego, lecz właśnie *istotnie różnego* od sformułowań źródłowych. Ma to być sformułowanie lepsze z punktu widzenia naszej całościowej teorii, które nie tyle *eksplikuje*, co *zastępuje* wersję wcześniejszą. Por. Rudolf Carnap, *Meaning and Necessity*, Chicago 1960, s. 8, Willard Van Orman Quine, *Word and Object*, Cambridge, Mas. 1960, s. 159.

² Jak np. Chisholm czy zwłaszcza Searle, który uważa, że Quine'owską tezę niezdeterminowania przekładu najlepiej interpretować jako redukcję do absurdu całej jego teorii. Por. John R. Searle, *Niezdeterminowanie, empiryzm i pierwsza osoba*, w: B. Stanosz (red.) *Filozofia języka*, Warszawa 1993.

³ Większość klasycznych tez Quine'a zawartych jest w przejrzystej formie w esejach zebranych w: Quine, *Z punktu widzenia logiki*, Warszawa 1969, najpełniejszym wykładem

1. Dziecko behawiorystów

W psychologii — pisze Quine — możemy być lub nie być behawiorystami, w teorii języka jednak nie mamy takiego wyboru, behawioryzm jest tu opcją jedyną.⁴ Decyduje o tym natura przedmiotu, który badamy — języka. Aby to zrozumieć, wystarczy rozważyć, jak uczymy się języka. Dzieć się to może jedynie poprzez selektywne wzmacnianie werbalnych reakcji dziecka na określone sytuacje bodźcowe. W procesie uczenia podsuwa się dziecku jednowyrazowe zdania (na przykład „Mama”) w określonych sytuacjach percepcyjnych (w tym przypadku w sytuacjach pojawienia się matki). Po pewnym czasie dziecko zaczyna powtarzać te zdania, na początku prawdopodobnie niezależnie od sytuacji. Zadaniem nauczycieli jest teraz odpowiednie wzmacnianie jego werbalnych zachowań. Wymówienia zdania „Mama” są nagradzane, o ile matka znajduje się w takim położeniu, iż jest przez dziecko percypowana. Jeśli dziecko osiągnęło taki stopień wprawy, że niemal nieomylnie reaguje na pojawienie się matki odpowiednimi słowami, nauczyciel uznaje, że nauczyło się ono zwrotu „Mama”.

A zatem w procedurze uczenia zakłada się powszechnie, że dziecko *rozumie* wyrażenie, jeśli używa go systematycznie w odpowiedniej sytuacji bodźcowej. Jednak *rozumieć* wyrażenie, to to samo, co *znać jego znaczenie*. W problematyce znaczenia nie tkwi zatem nic więcej, niż zagadnienie społecznie uwarunkowanej reakcji na określone bodźce.

Jedyny „niespołeczny” czynnik, który w tej wyjściowej sytuacji istotny jest dla kwestii znaczenia, to *stymulacja sensoryczna*, której podlega indywiduum. Quine definiuje ją po prostu jako zbiór receptorów zewnętrznych osobnika, które zostały pobudzone.⁵ Stymulacja „znajduje się” więc na powierzchni ciała użytkownika języka. Istnieje pewna grupa prostych zdań, dla których wskazać można dość jednoznacznie identyfikowalną stymulację, na którą zdania te są „właściwą reakcją”. Są to zdania typu: „Mama”, „Czerwony”, „Grzmi” itp. Zdaniom takim możemy przypisać ich „znaczenie stymulacyjne” (*stimulus meaning*). Będzie nim właśnie owa stymulacja.⁶ Zdania takie nazywa Quine *zdaniami obserwacyjnymi*. Behawioralnym kryterium ich wyróżnienia jest to, że praktycznie wszyscy członkowie danej wspólnoty językowej będą w danej sytuacji zgodni, czy określone zdanie tego typu uznać, czy też odrzucić.⁷

jego wizji filozoficznej i podstawowym *locus classicus* jest niewątpliwie *Word and Object*, dz. cyt., natomiast stosunkowo aktualne syntetyczne ujęcie przedstawione jest w *Pursuit of Truth*, Cambridge, Mas. 1990.

⁴ Por. Quine *Pursuit of Truth*, dz. cyt., s. 38.

⁵ Por. Quine, tamże, s. 3.

⁶ Dokładniej, dla każdego takiego zdania istnieje *pozytywne* i *negatywne* znaczenie stymulacyjne, czyli stymulacja, która powoduje odpowiednio *uznanie* oraz *odrzućcie* tego zdania.

⁷ Por. Quine, *The Roots of Reference*, La Salle, Illinois 1974, s. 39.

W tym miejscu zauważyć należy, że kiedy mówi się o stymulacji, ma się na myśli nie konkret, lecz *uniwersalia*, coś, co jako *to samo* występuje w różnych konkretnych sytuacjach.⁸ Chcemy móc powiedzieć, że w przypadku różnych pojawień się matki dziecko znajduje się w *tej samej* sytuacji stymulacyjnej.⁹ Jeśli próbowalibyśmy zamiast tego powiedzieć, że sytuacje te są *podobne*, musielibyśmy liczyć się z pytaniem: podobne, zgoda, ale pod jakim względem? Dla dowolnych dwóch sytuacji możemy bowiem wskazać pewien aspekt, w którym będą one podobne. Jeśli chcemy na to pytanie odpowiedzieć, to wskazać musimy ten *aspekt*, czyli wspólną cechę obu sytuacji, która decyduje o tym, że są one podobne. Będą to oczywiście znowu *uniwersalia*.¹⁰ Dodać tu należy, że oczywiście powyższe rozważania zakładają definiowalność podobieństwa poprzez odwołanie się do cech wspólnych. Można jednak postąpić odwrotnie, relację podobieństwa traktować jako termin logicznie pierwotny, a tożsamość cech definiować poprzez podobieństwo.¹¹ Niewykluczone więc, że na tej drodze udałoby się pozostać nominalistą. Rozważania te możemy jednak bezpiecznie pominąć, jako że Quine nie ma najmniejszych skłonności do bycia nominalistą.

Dwa wyrażenia będą dla danego indywiduum *stymulatywnie synonimiczne*, jeżeli stanowią dla niego reakcję na tę samą stymulację. Wyrażenia są stymulatywnie synonimiczne dla całej wspólnoty językowej, jeżeli są takie dla każdego jej członka. Tego rodzaju definicje są jednak niemożliwe dla zdań, które nie są w tak jednoznaczny sposób powiązane ze stymulacją. Większości zdań nie uczymy się w opisany wyżej prosty sposób, lecz przy istotnym współudziale innych faktów werbalnych. Nowe zdania wprowadzane są często za pomocą innych zdań, różne zdania zawierają te same słowa, dzięki czemu wchodzą w różnorodne relacje, wprowadzane są procedury konstruowania zdań ze słów. To wszystko sprawia, że większa część naszego języka powiązana jest ze stymulacją jedynie w sposób bardzo pośredni, na podstawie uczestnictwa w skomplikowanej sieci współzależnych elementów, z których tylko niektóre mają charakter pozwalający przypisać im znaczenie stymulacyjne.

Quine nie zakłada, że zwrot posiadający jasne znaczenie stymulacyjne, który jest *tak samo rozumiany* przez różnych użytkowników języka, musi wiązać się dla nich z tą samą stymulacją. Wobec indywidualnych różnic budowy układu ner-

⁸ Por. Quine, *Word and Object*, dz. cyt., s. 34.

⁹ Oczywiście gdy mówimy o *tych samych* zdaniu, użytym przy różnych okazjach, sytuacja jest dokładnie taka sama, mówimy nie o *egzemplarzu*, lecz o *typie* zdania.

¹⁰ Wyczerpującą dyskusję problemu uniwersaliów znaleźć można w: D.M. Armstrong, *Universals and scientific realism*, Cambridge 1978, t. 1.

¹¹ Jak usiłował to zrobić Rudolf Carnap, *Der logische Aufbau der Welt*, Berlin 1928. Dokładniej, jego pojęciem pierwotnym nie jest podobieństwo, lecz *przypomnienie podobieństwa* (*Ähnlichkeitserinnerung*), a zatem pojęcie o charakterze raczej epistemologicznym niż ontologicznym. Poza tym Carnap stosuje cały skomplikowany aparat konstrukcji teoriomnogościowych, co sprawia, że i jego filozofia nie ma charakteru nominalistycznego. Por. również Quine, *The Roots of Reference*, dz. cyt., s. 18 i n.

wowego byłoby to założenie wysoce niewiarygodne. Dla uwydatnienia tej kwestii można sobie nawet wyobrazić, że osobnikiem, który nauczył się języka polskiego i który dokładnie tak jak my rozumie zwrot „Mama”, jest przybysz z Marsa, którego receptory w ogóle nie mają nic wspólnego z naszymi.

Sytuacja wygląda tak, że każdy użytkownik języka łączy z danym zwrotem „swoją” stymulację. To natomiast, czy dwa podmioty *A* i *B* rozumieją dany zwrot *p* tak samo, zależy jedynie od tego, czy przekład zwrotu *p* języka (idiolektu) osobnika *A* na równoważny zwrot *p* języka osobnika *B* jest przekładem *poprawnym*.¹² Tym zagadnieniem zajmujemy się jednak w paragrafie następnym.

Drugim ważnym czynnikiem przy nauce języka jest czynnik społeczny. Decyduje on o charakterze rudymentalnego schematu pojęciowego zdobywanego przez dziecko. Otóż schemat ten musi przede wszystkim być *intersubiektywny*. Aby to zrozumieć, wystarczy zwrócić uwagę na fakt, że zachowania werbalne dziecka mogą być przez nauczyciela prawidłowo sterowane tylko wtedy, gdy sytuacje odpowiedniego pobudzenia sensorycznego dziecka są w rozsądnym stopniu intersubiektywnie przewidywalne. Nauczyciel musi *wiedzieć*, że uczeń znajduje się w tym właśnie stanie, w którym powinien wypowiedzieć to i to. Ten społeczny charakter procesu nauczania sprawia, że decydująca rola w naszym języku przypada wyrażeniom odnoszącym się do intersubiektywnych przedmiotów średniej wielkości trwających w czasie, przedmiotów takich jak mama lub stół, które można bez kłopotów wielokrotnie pokazać, zakładając przy tym rozsądnie wystąpienie tej samej sytuacji bodźcowej.

Ważna rola *stymulacji sensorycznej* mogłaby sugerować, że pierwotne wyrażenia języka powinny odnosić się raczej do czegoś w rodzaju prywatnych stanów mentalnych, że pierwszy język dziecka przypominać powinien postulowany przez niektórych empirystów opisowy język danych zmysłowych.¹³ Jednak stymulacja to tylko jedna strona medalu, drugą jest społeczny charakter procesu uczenia. Ta druga powoduje, że prywatny „język danych zmysłowych” może być budowany tylko wtórnie „na podstawie” intersubiektywnego „języka przedmiotów fizycznych”.¹⁴ Zgodnie z teorią Quine’a dziecko nie byłoby w stanie nauczyć się wyrażenia (1) „dana zmysłowa mamy” bez znajomości słowa (2) „mama”. Wyrażenie (1) może być wprowadzone tylko na podstawie definicji w rodzaju:

dana zmysłowa mamy = Df coś, co „posiadam” (i co posiadają też inni), kiedy, jak mi się wydaje, widzę (lub: jak im się wydaje, widzą) mamę.

¹² Por. Quine, *Pursuit of Truth*, dz. cyt., s. 42, 43.

¹³ Por. Clarence Irving Lewis, *An Analysis of Knowledge and Valuation*, LaSalle, Illinois 1946, s. 179, gdzie wprowadza on pojęcie *expressive language*, który miałby mówić jedynie o prywatnych danych zmysłowych, bez implikowania czegokolwiek na temat obiektywnej rzeczywistości. Por. również analogiczną koncepcję w: Roderick M. Chisholm, *Teoria poznania*, Lublin 1994, s. 43–54.

¹⁴ Por. Quine, *Word and Object*, dz. cyt., s. 1, 5–8.

Takiej definicji można się intersubiektywnie nauczyć na podstawie posiadanych już pojęć mamy, złudzenia itd. Nigdy jednak nie bylibyśmy się w stanie nauczyć zwrotów odnoszących się do bytów prywatnych w taki sposób, jak zwrotu „Mama”. A ten sposób nauki jest jedynym dostępnym „wejściem”, przez które język może być opanowany.¹⁵

2. Lingwista w dżungli

Jeżeli chcemy w sposób odpowiedzialny używać jakiegoś pojęcia, wyjaśnić musimy przede wszystkim warunki identyczności przedmiotów, które pod nie podpadają. Jeśli chcemy mówić o kotach, musimy wiedzieć, co to znaczy być jeszcze tym samym, a co — już innym — kotem; jeżeli chcemy wiedzieć, czy można wejść dwa razy do tej samej rzeki, wiedzieć musimy, kiedy rzeka jest (i kiedy nie jest) tą samą rzeką. Konsekwentnie, jeśli chcemy używać pojęcia *znaczenia*, musimy wiedzieć, na czym polega jego tożsamość. Intuicyjnie wydaje się, że *znaczenie* jest tym, co zachowywane jest w przekładzie. Przekład zmieniający znaczenie oryginału jest złym przekładem, a zły przekład, to coś takiego, jak sztuczne złoto. W sensie ścisłym, tak samo nie jest on przekładem, jak tamto nie jest złotem.

Z tego też powodu głównym modelem heurystycznym, którego używa Quine w swoim wykładzie filozofii języka jest fikcyjna sytuacja *radikalnego przekładu*.¹⁶ Mamy tu lingwistę, który sporządza podręcznik przekładu na podstawie obserwacji całkowicie nieznanego szczepu. Brak mu jakiegokolwiek języka pośredniczącego, jak również wspólnej bazy kulturowej, czynników, które zwykle ułatwiają prace translatorskie. Wszystko, czym dysponuje, to werbalne reakcje tubylców oraz obserwowalne bodźce, które działają na ich powierzchnie sensoryczne.

Jedynym sposobem rozpoczęcia pracy jest w tych warunkach próba zidentyfikowania prostych zdań o relatywnie jasnym znaczeniu stymulacyjnym. W swo-

¹⁵ Dlatego uważa też Quine, że tradycyjny problem epistemologiczny: jak z danych zmysłowych wnioskujemy o przedmiotach świata zewnętrznego, jest źle postawiony. Same dane zmysłowe są bowiem jedynie produktem teorii naukowej. W introspekcji nie znajdujemy nic, co mogłoby je przypominać. Dane zmysłowe wprowadzamy jako byty stanowiące *subiektywne odpowiedniki bodźców*, o których mówi nam fizyka. Psychologia postaci wykazała zresztą psychologiczną fikcyjność tego pojęcia. W tej sytuacji lepiej jest zatem odwołać się wprost do pojęcia *stymulacji sensorycznej*. Tradycyjne pytanie epistemologiczne: jak z danych zmysłowych wnioskujemy o świecie zewnętrznym, zostaje tym samym zastąpione pytaniem: jak na podstawie sensorycznego pobudzenia receptorów, jedyne „miejsca” kontaktu ze światem, budowana jest jego empiryczna teoria? Epistemolog staje się tym samym empirycznym psychologiem. Por. Quine, *The Roots of reference*, dz. cyt., s. 1–3; por także *Epistemology naturalized*, w: Quine, *Ontological Relativity and Other Essays*, New York and London 1969, s. 69–90.

¹⁶ Por. Quine, *Word and Object*, dz. cyt., s. 28.

im znanym przykładzie opisuje Quine sytuację, w której tubylcy systematycznie powtarzają „Gavagai”, jeśli w polu widzenia pojawia się królik. Lingwista stawia zatem prostą hipotezę, że „Gavagai” powinno być przełożone jako „Królik”. Przy najbliższej okazji pokazuje on palcem królika i pyta „Gavagai?”, jeśli otrzymuje odpowiedź potwierdzającą, wzmacnia to jego hipotezę, jeśli przeczącą, hipoteza zostaje podkopana.¹⁷ Oczywiście dostępny stopień konfirmacji nie będzie nigdy przesadnie wielki. Może być jednak rozsądnie wystarczający. Nie chodzi o to, aby hipotezy były niepodważalne, lecz jedynie o tego rodzaju potwierdzenie, jakiego wymagamy zwykle w rozstrzyganiu innych problemów. Ogólnie rzecz ujmując, rządzą tu zwykle reguły stawiania i testowania hipotez znane z innych obszarów działalności poznawczej.

W tym miejscu pojawia się jednak ważny punkt, słynna kwestia *niezdeteminowania przekładu*. Załóżmy, że nasz lingwista zechce przełożyć „Gavagai” nie jako „Królik”, lecz jako „Faza czasowa królika” lub „Jednoelementowy zbiór królika”. Czy mamy jakiegokolwiek metody, aby rozstrzygnąć, który z tych przekładów jest poprawny? Odpowiedź brzmi niestety: *nie*. Wszystkie te propozycje będą tak samo spójne z wszelkimi behawioralnymi świadectwami, które badacz ma do dyspozycji. To jednak oznaczać musi, że wszystkie one są *jednakowo poprawne*. Werdykt taki wydaje się jednak z intuicyjnego punktu widzenia nie do przyjęcia. Wyrażenia te mają przecież, jak się wydaje, bardzo różne *znaczenia*. Tym gorzej jednak dla intuicji, twierdzi Quine, i tym gorzej dla pojęcia znaczenia, które należy w konsekwencji porzucić, jako nie zdające testu naukowości.

Przy bardziej skomplikowanych zdaniach sytuacja staje się znacznie bardziej dramatyczna. Dotychczas rozważaliśmy najprostsze zdania jednowyrazowe. Prędzej czy później pojawi się jednak problem podziału na wyrazy. Można tego oczywiście dokonać na tysiąc różnych sposobów. Podziały takie nazywa Quine *analitycznymi hipotezami*. Są one jeszcze w znacznie mniejszym stopniu zdeterminowane niż przekłady „zdanie na zdanie”. Możliwe są zatem bardzo różne, nawet wzajemnie sprzeczne podręczniki przekładu, które jednak pozostają *tak samo dobre*. Kwestia *jedyne go właściwego* przekładu znika więc, a wraz z nią znika kwestia znaczenia.¹⁸

Podręczniki przekładu mogą różnić się bardzo drastycznie nawet jeśli chodzi o postulowaną ontologię. Widzieliśmy, że zamiast mówić o przedmiotach fizycznych, można mówić o ich czasowych fazach albo zbiorach. Jest to jeden z powodów, dla których Quine nie upiera się przy tym, by być nominalistą. Ontologia jest sprawą relatywną. To, do czego jest ona potrzebna, to zapewnienie logicznych powiązań pomiędzy zdaniami tworzącymi nasze teorie.¹⁹ Należy zatem przyjąć

¹⁷ Oczywiście zakłada się tu, że lingwista potrafi *zadać pytanie* oraz *rozpoznać zaprzeczenie i potwierdzenie*.

¹⁸ Por. Quine, *Pursuit of Truth*, dz. cyt., s. 47 i n.

¹⁹ Tamże, s. 31 i n.

taką ontologię, która jest najwygodniejsza z naukowego punktu widzenia. Nie wykluczone nawet, iż przy pewnej modyfikacji języka kwestie ontologiczne w ogóle straciłyby sens.²⁰ Narzędziem „ustalania istnienia” jest mianowicie aparat kwantyfikacji. Dokładnie to znajdzie się w naszym inwentarzu tego, co istnieje, czemu pozwolimy być wartością zmiennej kwantyfikowanej. Wyobraźmy sobie teraz, że mamy język, którego logika tak odbiega od logiki klasycznej, że nie ma sensu mówić w nim o kwantyfikacji. W takim języku prowadzenie sporów ontologicznych byłoby zapewne niemożliwe.²¹

3. Holizm, czyli: za ile oddasz to twierdzenie?

Konsekwencją tej destrukcji pojęcia *znaczenia* jest destrukcja pojęcia *analityczności*. Jeszcze Carnap mógł ściśle oddzielić zdania L-prawdziwe i P-prawdziwe. Te pierwsze były prawdziwe na mocy reguł języka, te drugie — na mocy faktów.²² Dla Quine'a droga ta jest jednak zamknięta. Nie ma już nic takiego, jak określone znaczenie, na mocy którego moglibyśmy uznać, że

(1) kawaler = nieżonaty mężczyzna,

które jednak „nie wystarczałyby” do uznania, iż

(2) woda = H_2O .

Oba te zdania znajdują się teraz na tym samym poziomie. Nauczyliśmy się je akceptować jako prawdziwe, a „analityczność” pierwszego i „syntetyczność” drugiego nie jest odróżnieniem absolutnym, lecz kwestią stopnia. O tym, że traktujemy je inaczej, decyduje przede wszystkim inny sposób uczenia się ich akceptowania. Zdania (1) zwykle uczymy się głównie poprzez bodźce werbalne, wyjaśnia nam się po prostu, że kawaler to tyle, co nieżonaty mężczyzna i to zamyka całą sprawę. Zdanie (2) natomiast, przynajmniej źródłowo, powiązane było istotnie ze stymulacją sensoryczną, ktoś musiał odkryć jego prawdziwość. Otwartą kwestią pozostaje jednak, czy zdanie (2) nie zbliża się coraz bardziej do analityczności. Czy, gdybyśmy pewnego dnia odkryli, że to, co płynie w pobliskim strumyku i wygląda całkiem „normalnie”, nie jest H_2O , nie wolelibyśmy powiedzieć raczej, iż to z pewnością nie woda, niż odrzucić prawdziwość (2)?

²⁰ Tamże, dz. cyt., s. 36.

²¹ Niewątpliwie niezbyt dobrze potrafimy sobie taki język wyobrazić. Wyobrażamy go sobie bowiem w naszym kwantyfikacyjnym schemacie pojęciowym. (Rozważmy chociaż początek: założmy, że *mamy* język, którego reguły są tak różne od reguł naszego języka...) Quine nie wyklucza jednak, że już w logice teorii kwantowej mówienie o istnieniu niekoniecznie musi mieć całkiem jasny sens. *Tamże*.

²² Por. Rudolf Carnap, *Meaning and Necessity*, dz. cyt., s. 10.

Oczywiście gdybyśmy stwierdzili, że *we wszystkich* rzekach świata płynie coś innego niż H_2O , prawdopodobnie odrzucilibyśmy (2). Właśnie na tym polega jednak stopniowalność analityczności, na pytaniu, za jaką cenę skłonny byłbym dane zdanie odrzucić. Jeśli cena jest stosunkowo niska, zdanie jest „stosunkowo” syntetyczne, jeśli dość wysoka, zdanie będzie „dość” analityczne. W tym rankingu zdanie (2) plasuje się mniej więcej pośrodku. Zdania typu „Dzisiaj padał deszcz” albo „Woda jest zimna” stanowią dolną granicę. Oddamy je niemal za darmo. Górne rejestry tej skali zaanektowały dla siebie logika i matematyka.

Dlaczego tak się dzieje, wyjaśnia odwołanie się do kryteriów *pragmatycznych*. Każda zmiana w najdrobniejszych prawach matematyki czy logiki wywołałaby tak daleko idące zmiany w całej naszej „teorii świata”, że będziemy ich raczej za wszelką cenę bronić tych praw.²³ Logika i matematyka przenikają bowiem całą naszą naukę, są jak cement, nadający jej spójność. „Rozmiękczenie” cementu grozi zawaleniem całego gmachu, dlatego wszelkie tego rodzaju próby będą jak najsurowiej tępione. Na tym właśnie polega, zdaniem Quine’a, wciąż na nowo rozważana przez filozofów, tajemnicza *konieczność* przysługująca twierdzeniom nauk dedukcyjnych.

W teorii Quine’a znika więc jasny podział na język, w którym teoria jest sformułowana oraz samą teorię. Nie możemy już wypreparować logiki, która byłaby informacyjnie pusta i dzięki temu zabezpieczona przed konfrontacją z rzeczywistością,²⁴ i przeciwstawić jej wiedzy faktualnej, która by ze swej strony logikę w sposób konieczny zakładała. Logika języka jest zależna od całościowej teorii, którą w języku tym formułujemy i razem z nią staje oko w oko z brutalną, falsyfikującą rzeczywistością. Swą trwałość zawdzięcza, jak powiedzieliśmy, głównie pragmatycznemu parasolowi ochronnemu, który nad nią troskliwie rozpinamy. Jej niezłomność polega więc raczej na sztuce uników niż rzeczywistej odporności na ciosy.

Badając pojęcia występujące w naukach widzimy, jak wiedza faktualna o przedmiotach przenika stopniowo do definicji, za pomocą których wprowadziliśmy odpowiednie terminy do języka. Jeśli mówimy na przykład o atomach, to odnosimy się do czegoś, co jest zdeterminowane przez całą naszą wiedzę fizyczną. Odróżnienia tego „o czym się mówi” i tego „co się o tym mówi” nie da się tu

²³ Że jednak i one mogą zostać zrewidowane na rzecz większej prostoty całego obrazu świata, świadczą na przykład fakty wykorzystania geometrii nieeuklidesowej w fizyce Einsteinowskiej oraz logiczne anomalie teorii kwantowej.

²⁴ Taką koncepcję logiki głosił, jak wiadomo, w swoim *Traktacie* Wittgenstein. Teoria ta przejęta została przez Carnapa. Por. Ludwig Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, Warszawa 1970, tezy 4.462, 5.552, oraz Carnap, *Meaning and Necessity*, dz. cyt., s. 10. Natomiast Tarski preferował zawsze ujęcie odróżnienia syntetyczne-analityczne bliskie teorii Quine’a. Traktuje on je jako odróżnienie relatywne, zależne przede wszystkim od celów dla jakich konstruujemy nasz język. Por. np. *Filozoficzny list Alfreda Tarskiego do Mortona White’a*, w: Alfred Tarski, *Pisma logiczno-filozoficzne*, Warszawa 1995, s. 283–291; por. także wcześniejsze prace np. Tarski, dz. cyt., s. 200.

jasno przeprowadzić.²⁵ Teoria determinuje więc uniwersum języka, a zatem również znaczenie jego terminów (gdyby, po tym, co zostało powiedziane, wypadało nam w ogóle jeszcze używać tego słowa).

Jądro tej holistycznej teorii stanowi stara teza Duhema, powszechnie przyjęta w całej współczesnej filozofii nauki, teza głosząca, że to, co odrzucane na podstawie doświadczenia, to nie izolowane zdania, lecz całe teorie. Jeśli zatem chcemy jakieś „ulubione” zdanie koniecznie zachować, zawsze możemy to zrobić za cenę odpowiednich przekształceń innych części uwikłanej w to teorii.²⁶ W tym właśnie momencie wkraczają rozważania pragmatyczne. Działamy tak, aby wywołać najmniejsze możliwe zmiany w teorii (zasada konserwatyizmu) oraz aby teoria pozostała możliwie prosta.²⁷ Nie potrzeba dodawać, że zasady te nierzadko wchodzą ze sobą w konflikt.²⁸

Ogólnie w teorii Quine'a zdanie jest tym mocniej związane z doświadczeniem, im łatwiej daje się dla niego wskazać odpowiednie znaczenie stymulacyjne. Zdania, które mają charakter zbliżony do pierwszych zdań, których uczy się dziecko, które wykazują wyjątkowo silny związek z określoną stymulacją, nazywa Quine *zdaniami obserwacyjnymi*.²⁹ Stanowią coś w rodzaju bazy nauki wiążącej ją ze światem. Podkreślić przy tym należy, że są to, jak wyżej powiedziano, zdania o intersubiektywnej rzeczywistości, a nie żadne raporty o prywatnych danych zmysłowych. Zdania te będą więc zwrotnie zależne od ogólnej teorii rzeczywistości, którą na ich bazie formułujemy. Oczywiście o żadnej nieomyślności, którą tradycyjnie próbowano wiązać z pojęciem bazy empirycznej nie może być tu mowy.

4. Wiedziałem, że aż tak nie mogę się mylić!

Ważną kwestią, która pozostała jeszcze do uwzględnienia w związku z eksperymentem myślowym radykalnego przekładu, jest sprawa *przekonań* użytkowników języka. Jak ważna jest to kwestia, dowodzi pewne proste rozumowanie. Załóżmy, że wszyscy członkowie szczepu wypowiadają swoje „Gavagai” wtedy, gdy widzą królika. Załóżmy jednak dalej, że dzięki pewnemu absolutnie absurdalnemu rozumowaniu, wszyscy doszli kiedyś do wniosku, że ilekroć widzą królika, stanowi to niezbity dowód na to... że żadnego królika w pobliżu nie ma. W tych warunkach zdanie „Gavagai” należałoby prawdopodobnie przełożyć raczej jako „Nie ma królika”. Jednak nasz lingwista ma dość marne szanse, by na taki

²⁵ „Atom” znaczyło przecież kiedyś: *niepodzielny!*

²⁶ Tezy te należą obecnie, dzięki analizom zawartym w głównych dziełach Poppera, Kuhna, Feyerabenda oraz Lakatosa, do oczywistości filozofii nauki.

²⁷ Por. Quine, *Pursuit of Truth*, dz. cyt., s. 14 i n.

²⁸ Np. przejście od fizyki Newtona do fizyki Einsteińskiej wywołało dość poważne zmiany obrazu świata, jednak za cenę niezwyklego ogólnego uproszczenia.

²⁹ Quine, *Pursuit of Truth*, dz. cyt., s. 3.

przekład kiedykolwiek wpaść. Żeby w ogóle móc ruszyć ze swoją pracą, musi założyć, że tubylcy nabywają swe przekonania w podobny sposób jak on. Jeśli widzą królika w trawie — rozumuje — są przekonani, że jest tam królik, chyba że mają naprawdę ważne powody, aby sądzić przeciwnie. Musi on zatem założyć, że tubylcy są *racjonalni* zgodnie z *jego* standardem racjonalności.³⁰

Staje się to szczególnie wyraźne, gdy dotykamy kwestii przyjmowanej przez nich *logiki*. Założenie, że badany notorycznie i świadomie wykracza przeciw zasadzie sprzeczności, uniemożliwia skutecznie wszelkie próby przekładu. Jeśli widzi królika, może powiedzieć zarówno „Królik”, jak i „Nie-Królik”, niezależnie zresztą od tego, o czym jest przekonany. Może powiedzieć poza tym również cokolwiek innego, jako że, jak wiadomo, z dwóch zdań sprzecznych wynika wszystko inne, co w danym języku da się powiedzieć. Żadne pytanie nie jest w stanie przełamać tej zapory. Nawet gdyby jakiś cud intuicji translatorskiej sprawił, iż umielibyśmy go zapytać: „Czy powiedziałeś «królik»?”, odpowiedź w niczym by nam nie pomogła, bowiem dla naszego rozmówcy odpowiedzi „tak” i „nie” się nie wykluczają się.

W tej sytuacji jedyne, co może zrobić badacz, to przypisać tubylcom taką liczbę *prawdziwych* i *racjonalnych* przekonań, jak tylko jest to możliwe. Ewidentne fałsze i absurdy imputować wolno tylko wtedy, gdy hipoteza przeciwna wymusza nieprawdopodobną psychologicznie komplikację gramatyki badanego języka. Jest to tzw. *zasada miłosierdzia* w interpretacji. Jeżeli tylko jest to możliwe, wszelkie wątpliwości trzeba rozstrzygać „na korzyść” badanego.

Czymś, co w pierwszym rzędzie musi zostać przez badacza narzucone, jest, jak powiedziano wyżej, jego *logika*. Dlatego Quine twierdzi, że pomysł „prelogicznej społeczności” jest mitem, który w żaden sposób nie da się naukowo uzasadnić. Aby bowiem uzyskać jakikolwiek szerszy dostęp do badanej kultury, trzeba przede wszystkim zrozumieć jej język. To jednak, zgodnie z rozważaną teorią, wymusza narzucenie własnej logiki. Odkrycie masowych odstępstw od zasad logiki jest zatem w pierwszym rzędzie świadectwem przeciw rzetelności przekładu.³¹ Gdyby zaś społeczność prelogiczna rzeczywiście gdzieś istniała, nie moglibyśmy się o tym nigdy dowiedzieć.

W trakcie interpretacji słów naszego rozmówcy musimy więc dokonać jednocześnie dwóch rzeczy. Po pierwsze, przypisać „znaczenie” jego słowom, po drugie, przypisać mu odpowiednie przekonania. Interpretacja słów i myśli postępować zatem muszą równolegle. Ta sytuacja ma, jak pokazuje Davidson,³² daleko idące konsekwencje epistemologiczne.

Jeśli założymy, że Quine’owski obraz radykalnego przekładu jest w zasadniczych swych zarysach poprawny, to, aby w ogóle rozpocząć przedsięwzięcie

³⁰ Por. Quine, *Word and Object*, dz. cyt., s. 59; Quine, *Pursuit of Truth*, dz. cyt., s. 46.

³¹ Por. np. Quine, *Philosophy of Logic*, Englewood Cliffs N.J. 1970, s. 80–83.

³² Donald Davidson, *A Coherence Theory of Truth and Knowledge*, w: D. Henrich (wyd.), *Kant oder Hegel?*, Stuttgart 1983.

interpretacji zachowań językowych, winniśmy założyć, że większość przekonań ich wykonawcy jest prawdziwa. Jednak tylko bardzo niewielka ich część jest tak bezpośrednio związana z sytuacją percepcyjną, iż moglibyśmy z okoliczności zewnętrznych wnioskować o ich *treści*. Co do treści większości przekonań mówiącego nie możemy mieć w tej wyjściowej sytuacji żadnych hipotez. Mimo to musimy jednak przyjąć, że większość z nich jest prawdziwa.

Jeśli na żmudnej drodze radykalnego przekładu dotarliśmy wreszcie do zadawalającego podręcznika, zdobywamy klucz do przypisania badanemu znacznie większej ilości przekonań. Jeśli chcemy wiedzieć, co sądzi on nawet o tak luźno związanych ze stymulacją sensoryczną zagadnieniach, jak polityka obecnego prezydenta czy reinkarnacja, możemy go o to po prostu *zapytać*. W tym stadium zdobywamy też możliwość piętnowania u rozmówcy fałszów i nielogiczności, jednak tylko w ograniczonej skali. Jeśliby się miało bowiem okazać, że większość z jego przekonań to jawne bzdury, okazałoby się tym samym, że nasz moźolnie wypracowany podręcznik, którego konstrukcja oparta była na założeniu przeciwnym, nadaje się do kosza na śmieci. W konsekwencji również nasze, oparte na nim interpretacje zachowań werbalnych, mają dokładnie ten sam status. To zatem, do czego mamy prawo, to jedynie wskazanie wysepek szaleństwa w morzu założonej wielkodusznie, ogólnej racjonalności rozmówcy. Zasada miłosierdzia raz przyjęta, musi zostać zachowana do końca.

A zatem w samym pojęciu procedury przypisania (na szerszą skalę) przekonań rozmówcy kryje się założenie, że większość z jego przekonań jest prawdziwa. Ta teza, choć nieco kontrowersyjna, może być jednak traktowana jako postulat metodologiczny: albo nasz rozmówca jest rozsądny, a wtedy, jeżeli to założymy, może nam się udać go zrozumieć, albo jest wariatem, a wtedy nigdy nie dowiemy się, co myśli.

Na tym jednak sprawa się nie kończy. Następną, dużo bardziej kontrowersyjną tezę Davidsona, jest twierdzenie, iż:

również sobie samemu mogę przypisać przekonania tylko na takiej, pośredniej drodze. Nie ma żadnego uprzywilejowanego dostępu do własnych stanów mentalnych. To, o czym jestem przekonany, wiedzieć mogę tylko poprzez interpretację własnych zachowań (werbalnych i innych).

Jeśli tak rzecz się ma w istocie, to założenie o prawdzie większości przekonań podmiotu obowiązuje nie tylko dla interpretacji cudzych przekonań, lecz dla pojęcia przekonania jako takiego.

W Quine'owsko-Davidsonowskim ujęciu *posiadać przekonanie* to tyle, co mieć dyspozycję do pewnych (zwłaszcza werbalnych) zachowań.³³ Werbalne zachowania jednak z istoty swej mają być interpretowane, to zaś zakłada praw-

³³ Por. Quine, *Pursuit of Truth*, dz. cyt., s. 66.

dziwość większości przekonań. W ten sposób koło się zamyka. Również ja sam nie mogę mieć przeważającej części przekonań fałszywych, bo taki system przekonań nie mógłby się uzewnętrznic w żadnym interpretowalnym zachowaniu werbalnym. To, że większość przekonań jest prawdziwa, należy zatem do samego pojęcia przekonania; gdyby nie chodziło o filozofię Quine'a, można by powiedzieć — do *istoty* przekonania jako takiego.

Z tych rozważań czerpie Davidson uzasadnienie dla koherencyjnej koncepcji teorii poznania. Zgodnie z tą koncepcją przekonanie jest uzasadnione, jeśli wiąże się w koherentną całość z totalnym systemem przekonań podmiotu. Głównym zdroworozsądkowym argumentem przeciwko takiemu ujęciu jest wskazanie, że również generalnie fałszywe systemy zdań mogą być absolutnie spójne. Można wyobrazić sobie doskonale spójną powieść, której każde zdanie byłoby jawnym fałszem. Dlaczego nasz system przekonań nie miałby być taką powieścią? Na gruncie przedstawionej teorii argument ten traci moc. To, że totalny system przekonań podmiotu musi być generalnie prawdziwy, wynika tu z samego pojęcia przekonania. Wystarczy zrozumieć, co to znaczy posiadać przekonanie, aby pytanie, czy większość naszych przekonań nie mogłaby być fałszywa, odrzucić jako pozbawione sensu. Możemy zatem odetchnąć z ulgą i skonstatować, iż zawsze przecież wiedzieliśmy, że aż tak nie możemy się mylić.

5. Czy głupi myślą się rzadziej?

Koncepcja, z którą mamy tu do czynienia, może być niewątpliwie nazwana pewnego rodzaju *relatywizacją* pojęcia prawdy. Relatywizacją nie tylko do określonego języka, lecz także, i przede wszystkim, do użytkownika języka. Załóżmy bowiem, że mamy pewien zbiór zdań P , który wyraża całość przekonań pewnego podmiotu A . Z tego, co wyżej powiedziano, wynika, że niemożliwe jest, żeby większość elementów P była fałszywa. Załóżmy jednak dalej, że nasz A nie jest ani szczególnie dociekliwym, ani przesadnie wykształconym osobnikiem i że w konsekwencji P jest bardzo skromnym zbiorem. Typowy użytkownik języka posiada co najmniej cztery razy tyle przekonań. W tej sytuacji nie sprawi nam specjalnego kłopotu wyobrażenie sobie, że istnieje gdzieś pewien inny podmiot B , który podziela wszystkie przekonania naszego A , dla którego jednak zbiór P wyraża tylko nieznaczący ułamek jego całościowego systemu. W tym przypadku raczej bez wahania zgodzimy się, że nie tylko większość, ale nawet wszystkie elementy zbioru P mogą być fałszywe.

To jednak powinno wprowadzić nas w zakłopotanie, wynika z tego bowiem, że możliwość fałszywości elementów zbioru P zależy od tego, w relacji do jakiego podmiotu jest rozpatrywany. Lecz to nie wszystko. Jeśli założymy, dość wiarygodnie chyba, że im mniej rolgarnięty, dociekliwy i odcytany (krótko mówiąc, im *głupszy*) podmiot, tym mniejszy zbiór jego przekonań, otrzymujemy tezę, że z im głępszym osobnikiem mamy do czynienia, tym mniejsze prawdopodobieństwo, aby któreś z jego przekonań było fałszywe. Gorzej jeszcze: dowolne przekonanie

głupszego rozmówcy ma zawsze większe prawdopodobieństwo prawdziwości niż *to samo* przekonanie rozmówcy mądrzejszego. Czy powinniśmy więc wierzyć raczej głupim niż mądrym...?

Aby otrząsnąć się nieco z tych niewesołych myśli zastanówmy się, na czym dokładnie polega rozważana relatywizacja. Jak wiadomo, prawdziwość jest cechą zdania, która przysługuje mu w zależności od tego (1) co zdanie to znaczy, oraz od tego (2) jak mają się rzeczy w pozajęzykowej rzeczywistości. Niewielki namysł pozwala ustalić, że rozważana relatywizacja wiąże się z punktem (1), a nie (2). Fakty pozostają takie same, niezależnie od tego, jak inteligentnych rozmówców mieliśmy szczęście spotkać, jednak to, *jakie znaczenie mają wypowiediane przez nich zdania*, zależy w wielkiej mierze od stopnia ich inteligencji. Jak powiedziano wyżej, znaczenie zdania jest funkcją całościowej teorii, współtworzącej język, w którym zostało ono sformułowane. Jedyne, z czego musimy sobie teraz zdać sprawę, to to, że przy naszych założeniach „głupi rozmówca” nieuchronnie musi mieć zupełnie inną teorię rzeczywistości niż „rozmówca mądry”. Jeśli świeży absolwent szkoły podstawowej oraz laureat nagrody Nobla w dziedzinie fizyki twierdzą zgodnie, iż elektrony to cząstki, które poruszają się po orbitach kołowych, to każdy z nich z pewnością twierdzi coś innego. Twierdzenie pierwszego, ze względu na szczupłość jego wiedzy towarzyszącej, ma tak nieokreślony charakter, że trudno przypisywać mu fałszywość, z punktu widzenia fizyka mogłoby być to zinterpretowane raczej w słowach: „Brawo, chłopak wie, że jest coś takiego jak elektron, choć nie za bardzo jeszcze rozumie, o czym mówi”. Twierdzenie noblisty natomiast ma wystarczającą „ostrość pojęciową”, aby bez zbędnych negocjacji zarobić kiepską ocenę. A zatem w pewnym sensie wszystko się zgadza — głupiemu rzeczywiście trudniej jest się pomylić, jednak tylko ze względu na fakt, iż stwierdza on „bardzo mało”. To zatem, co było mylącego w naszym rozumowaniu, to założenie, że ten sam zbiór zdań *P* może wyrażać raz całościową prymitywną teorię, drugi zaś raz — niewielki fragment teorii wyrafinowanej. Przy tej doktrynie semantycznej jest to niemożliwe. Nasi dwaj rozmówcy mogą wprawdzie wyrażać swoje przekonania *tymi samymi zdaniami*,³⁴ jeżeli jednak chcielibyśmy je porównywać, musielibyśmy dokonać bardzo różnych przekładów.³⁵

6. Kilka pytań bez odpowiedzi

Quine'owska filozofia języka operuje, jak widzieliśmy, pewnym *genetycznym* modelem, z którego wyprowadzane są tezy dotyczące podstawowych pojęć teorii

³⁴ Tak, jak zarówno Demokryt, jak i Bohr mówić mogli o *atomach*.

³⁵ Dalszym niejasnym punktem powyższych wywodów pozostaje delikatna kwestia *liczenia przekonań*. Czy ktoś, kto sądzi, że istnieją nosorożce, ma dzięki temu jedno przekonanie, czy też tyle przekonań, ile jest nosorożców, a może tyle, ile *konsekwencji* zdarzyło mu się z niego wyprowadzić? Nie jest zbyt łatwo wskazać procedurę, za pomocą której tego rodzaju pytania mogłyby być rozstrzygnięte.

(jak choćby pojęcia *znaczenia* i *analityczności*). Z tego, jak opanowujemy język, mamy, zdaniem Quine'a, prawo wyciągać wnioski o tym, czym język jest. Dwa główne przypadki, które są przy tej okazji rozważane, to (1) nabywanie języka przez dziecko oraz (2) eksperyment radykalnego przekładu. Wypada jednak zauważyć, że te dwie sytuacje różnią się dość znacznie. Quine wydaje się za różnice te całkowicie pomijać.

Przed wszystkim lingwista *posiada już pewien język*, mianowicie swój własny, i usiłuje tylko nań *przełożyć* pewien język obcy. Ta sytuacja wyjściowa sprawia, iż przyznajemy mu prawo do traktowania tego, co robią tubylcy, jako *mowy*. Lingwista *wie* mniej więcej, z czym może mieć do czynienia, wie, czym jest i do czego służy *jego* język i zakłada, że czymś podobnym jest to, co bada.

Nic z tego nie jest prawdą w odniesieniu do dziecka. Dziecko nie przekłada, lecz dopiero opanowuje język. Nie posiada ono (na mocy założenia) żadnego języka,³⁶ który mógłby stanowić model tego, co robią rodzice. W ujęciu Quine'owskim dziecko po prostu powtarza jak papuga to, co usłyszy. Pewne takie powtórzenia są nagradzane, i te się utrwalają, inne nie, i takie zanikają stopniowo. Jednak tego rodzaju warunkowanie jest niesłychanie nieokreślone. Trudno sobie wyobrazić, jak dziecko może „wpaść” na to, że to właśnie osoba matki jest tym elementem, który legitymuje wypowiedzenie zwrotu „Mama”. Wykształcony i przenikliwy badacz nieznanego języka może stosować grę pytań i odpowiedzi, aby ograniczyć w sposób rozsądny spektrum możliwych hipotez. Mógłby na przykład wskazać palcem w odpowiednim kierunku i zapytać „Mama?”, co ułatwiłoby mu odrzucenie hipotezy, że to zapach perfum lub dźwięk wysokich obcasów należy nazywać „Mama”. Robiłby to oczywiście na mocy analogii z własnym językiem. Dziecku jednak żadna taka analogia nie jest dostępna. Dziecko nie zna jeszcze gry w pytania i odpowiedzi i trudno sobie wyobrazić, jak w ogóle mogłoby ją w „behawiorystycznym żłobku” poznać.

Quine powołuje się często, zwłaszcza w okolicach dość niejasnych przejść argumentacyjnych, na zdolność *empatii*.³⁷ Jeśli na przykład nauczyciel ma osiągnąć sukces w nauczaniu dziecka słowa „koń”, to musi niejako „postawić się w położeniu ucznia”, musi nagradzać wypowiedzenie słowa „koń” nie wtedy, gdy sam konia widzi, lecz wtedy, gdy, jak sądzi, widzi go jego uczeń. Jeżeli uczeń jest w tym czasie odwrócony i widzi na przykład psa, nauczyciel musi umieć to uwzględnić. W przeciwnym wypadku jego wychowanek może zacząć mylić konie z psami, co nie wróżyłoby mu ani szczególnych sukcesów komunikacyjnych, ani też zapewne wielkiej kariery jeździeckiej.

³⁶ Jeśliby przyjąć, że dziecko, w momencie nauki swego pierwszego języka mówionego, już pewien język posiada, należałoby przede wszystkim wyjaśnić mechanizm funkcjonowania tego zakładanego „prejęzyka”. W przeciwnym wypadku powstaje niebezpieczeństwo, że wyjaśniamy *ignotum* per *ignotum*. Nawiasem mówiąc, założenie, że dziecko tego rodzaju prejęzyk posiada, jest absolutnie wiarygodne. Takim *zrozumiałym* dla dziecka kodem jest prawdopodobnie rudymenatarny „język gestów”.

³⁷ Por. np. Quine, *Pursuit of Truth*, dz. cyt., s. 42 i n., 46.

Takie pasażę wskazują wyraźnie, że behawiorystyczno-stymulacyjny minimalizm tej filozofii jest tylko swego rodzaju zewnętrzną fikcją, podczas gdy *de facto* przez cały czas zakładany jest bardzo skomplikowany mechanizm poznawczy ukryty pod takimi etykietkami, jak wspomniana zdolność empatii lub, równie często przywoływana, „rudymenarna zdolność odróżniania cech” czy też „wrodzone standardy percepcyjnego podobieństwa”.³⁸ Przez odwołanie się do takich haseł daje się niewątpliwie „wyjaśnić” jak dziecko opanowuje język, jednak bez zarysu teorii tego, co się pod nimi kryje, uzasadnione staje się podejrzenie, że wszystkie „nienaukowe” pojęcia, przepędzone z teorii języka, wracają tylnymi drzwiami w zakładanej *implicite* teorii percepcji i empatii. Podejrzewać możemy chociażby, że w pewnym stadium będzie tu trzeba mówić o treści percepcji,³⁹ która bardzo wyraźnie przypominać może wyklęte przez Quine'a znaczenie. Jeśli pozwolimy sobie na tego rodzaju proste wyjaśnienie faktu, iż dziecko zaczyna grać w grę pod tytułem *język*, ryzykujemy, iż w pojęciu *empatycznej reakcji na mowę dorosłych* ukrywamy tak skomplikowane mechanizmy, jak na przykład uaktywnienie wrodzonych struktur gramatyki głębokiej, skąd już bardzo blisko do mówienia o „posiadaniu pojęcia” niezależnym od wcześniejszej stymulacji. To ostatnie byłoby zaś równoznaczne z porzuceniem genetycznego empiryzmu.

Dalszym problemem związanym z różnicami w możliwościach dziecka i lingwisty jest sprawa założeń racjonalności rozmówców. Jak pamiętamy, aby w ogóle rozpocząć swój przekład, musiał nasz uczony poczynić dość bogate założenia dotyczące badanego plemienia. Musiał uznać, że większość przekonań jego członków jest poprawna. Po to jednak, by móc to zrobić, musiał on dysponować *pojęciem przekonania*. Pojęcie to, jako pojęcie prywatnego stanu mentalnego, zdobył, jak wiadomo, okreśną drogą, poprzez obiektywny język przedmiotów fizycznych. Teraz jednak powstaje pytanie: czy dziecko może zdobyć tak bogaty „obiektywny język”, który wystarczyłby do wytworzenia „języka subiektywnego”, bez zakładania „po drodze” racjonalności swoich rozmówców? Jeżeli by się okazało, że jest to niemożliwe, powstawałoby swego rodzaju błędne koło: aby zdobyć pojęcie przekonania trzeba się nim posłużyć. Nasz brzdąc nie mógłby opuścić „behawiorystycznego żłobka” nie zrobiwszy wcześniej doktoratu z filozofii umysłu na „behawiorystycznym uniwersytecie”.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że twierdzenia dotyczące wtórności pojęć mentalistycznych w stosunku do języka rzeczy fizycznych występują u Quine'a raczej jako rozsiane sugestie niż wyraźne, uzasadnione tezy. Sugestie te są jednak na tyle wyraźne, że bezpiecznie można je traktować jako tezy. Brak zaś specjalnego uzasadnienia tłumaczyć należy ich ogólną „oczywistością” na gruncie roz-

³⁸ Por. Quine, *The Roots of Reference*, dz. cyt., s. 19. Por. również krytykę teorii Quine'a w: Searle, *Niezeterminowanie, empiryzm i pierwsza osoba*, dz. cyt..

³⁹ Por. chociażby teorię percepcji w: Roderick M. Chisholm, *Perceiving: A Philosophical Study*, Ithaca, NY 1957 oraz John R. Searle, *Intentionality. An Essay in the Philosophy of Mind*, Cambridge 1983.

ważanej teorii. Omawiana koncepcja Davidsona może być w tym względzie uznana za swego rodzaju „postawienie kropki nad i”.

Jeśli byśmy próbowali osłabić w tym punkcie doktrynę Quine’a i przyjąć pewne niezależne od społecznego języka pojęcie przekonania, to moglibyśmy to, jak się wydaje, uczynić tylko na podstawie jakiegoś postulatu „uprzywilejowanego dostępu” do własnych stanów mentalnych. Dostępu, który posiadamy my, którego jednak *zasadniczo* nie może posiadać nikt inny. Jeśli to jednak przyjmujemy, to nie stoi na przeszkodzie, aby zdefiniować „prywatne znaczenie” wyrażenia jako treść stanu mentalnego, który jest przez nie wyrażany.⁴⁰ Behawioryzm Quine’a byłby w tym przypadku jedynie *metodologicznym behawioryzmem* „jedynej drogi” wiodącej do odgadnięcia prywatnego znaczenia naszego rozmówcy. Znaczenia tego nie można by zidentyfikować inaczej, gdyż tylko on rozporządzałby uprzywilejowanym doń dostępem. Zagadnienia „prawdziwego znaczenia” oraz „jedynego poprawnego przekładu” istniałyby jednak jako *sensowne*, chociaż nierozstrzygalne pytania. Quine dyskredytuje te pytania jako bezsensowne, a zatem twierdzić musi, iż nie posiadamy takiego pojęcia znaczenia, które czyniłoby je pytaniami sensownymi. Wynika jednak z tego, że sugerowane wyżej osłabienie wywraca całą teorię, a zatem jest w jej ramach nie do przyjęcia.

Dość ubocznie pojawił się jeszcze jeden ważny punkt — zagadnienie właściwego charakteru Quine’owskiego behawioryzmu. Czy mamy tu do czynienia z tezą *metodologiczną* czy *ontologiczną*? Generalnie pytanie to ma jasny sens. Behawioryzm metodologiczny dyskredytuje jedynie pewne metody uzasadniania tezy⁴¹ jako nienaukowe, behawioryzm ontologiczny wyklucza zaś pewne (domniemane) fakty⁴² lub raczej kategorie faktów, jako nieistniejące. Behawioryzm metodologiczny mówi więc jedynie coś w rodzaju: „o tym nie wolno nam nic twierdzić, o ile chcemy pozostać naukowcami”. Behawioryzm ontologiczny orzeka natomiast: „tego nie ma (niezależnie od tego, kim chcemy być)”.

W przypadku Quine’a jednak odpowiedź na to pytanie nie jest jasna. Jego główną linią argumentacji są, jak pamiętamy, rozważania genetyczne na temat tego, jak się języka uczymy. Wydaje się więc, że uzasadniać one mogą w najlepszym wypadku jedynie behawioryzm metodologiczny. Jednak Quine wielokrotnie i wyraźnie mówi o *bezsensowności* pewnych twierdzeń lub pytań, co sugeruje raczej tezy ontologiczne. Winna temu zamieszaniu jest swoistość przedmiotu badań — języka. Ma on być, zgodnie z omawianą teorią, nie tylko przedmiotem badań, lecz również jedynym narzędziem referencyjnego odniesienia do świata. Jeśli badalibyśmy na przykład jeżozwierze, sensowność pytań o pewne ich, zasadniczo dla nas niepoznawalne, własności nie stanowiłaby żadnego problemu.

⁴⁰ W schemacie klasycznych teorii Fregego, Husserla czy Meinonga lub we współczesnej wersji teorii Searle’a.

⁴¹ Np. introspekcyjne.

⁴² Np. mentalne.

Jeżozwierz posiadałby je albo nie, niezależnie od istnienia metody sprawdzenia tego faktu.⁴³ Jednak w przypadku badań nad językiem jest inaczej. Jeśli chodzi o zagadnienia związane z kwestią znaczenia, to język nie może posiadać żadnych własności, które byłyby nie do nauczenia. Znaczenie bowiem to coś, co z definicji znane jest biegłemu użytkownikowi języka. Zrozumiałe jest zatem, że sensowność pytań o zagadnienia związane z językiem zależeć będzie od sposobów poznawczego dostępu doń, jeżeli te sposoby warunkują możliwość posłużenia się tym językiem.

Z tego też powodu odróżnienie pomiędzy behawioryzmem metodologicznym a ontologicznym traci tu ostrość, jeśli tylko „metodologiczność” rozumieć będziemy jako odnoszącą się w pierwszym rzędzie do metody *opanowania* języka. Dokładnie tak jednak ujmuje sprawę Quine.

Dodatkowe „stępienie” tego przeciwstawienia otrzymujemy przez uwzględnienie tezy relatywizmu ontologicznego. Pamiętamy, że ontologia ma być ważna o tyle tylko, o ile zapewnia poprawne funkcjonowanie naszej teorii. Jeżeli zamiast o królikach mówić możemy o fazach czasowych lub o jednoelementowych zbiorach królika i nie powoduje to żadnych istotnych zmian, to być może rzeczywiście spór o ontologiczny charakter Quine’owskiego behawioryzmu nie ma większego znaczenia.

⁴³ Quine przyjmuje klasyczną koncepcję prawdy, zgodnie z którą zdanie jest prawdziwe wtedy, gdy jest tak, jak ono głosi, niezależnie od tego, czy ktokolwiek jest w stanie to sprawdzić, co stawia jego filozofię w wyraźnej opozycji do wszelkich weryfikacjonistycznych i operacjonistycznych kryteriów sensowności, których współczesnym wcieleniem jest „antyrealizm” Dummeta. Por. Quine, *Philosophy of Logic*, dz. cyt., s. 12, 35 i n; Quine, *Pursuit of Truth*, dz. cyt., s. 90–94; M. Dummet, *Realizm*, „Principia”, tom VI (1992), s. 5–31.